

*Niektórzy ludzie próbują mieszać innym w umyśle, w ich mniemaniu to potrafią,  
tylko w ich mniemaniu, drobne szczegóły mówią prawdę...*

*- autor nieznan*

Pomieszczenie wypełniło się czerwienią... Chyba. Tak, wydaje mi się, że to czerwień. To, co mi się wydaje, może tylko mnie się wydaje? Jestem szalone? Nie. Nie jestem. A co, jeśli jestem? Czym jestem? Kim jestem? Raz... Dwa... Pięć palców. Jedna pięść, jednak dwie. Dwie ręce, dwie nogi, dwoje oczu. Jeden nos, ale dwie dziurki. Jedno serce. Shhhhh... Kołysałam się w przód i w tył, siedząc na kocu na betonowej podłodze pośród czterech identycznych ścian. Minęło 432137 sekund..., 432138 sekund od kiedy przyszli. Pięć dni rutyny. Wstałam i podeszłam do małego okna naprzeciwko drzwi. Słońce – żółta kula – jest aroganckie, świeci każdego dnia coraz niżej, by z czasem znowu zacząć wspinać się w górę.

Przyłożyłam policzek do szyby. Zimno miesza się z ciepłem. Kiedyś, tam – za przezroczystą ścianą było zielono. Teraz ptak nie lata, zwierzę zjada człowieka, człowiek zjada zwierzę.

Zeta powiedział, że jedzenia nie ma. Jest plaga. Na świecie brakuje wody, brakuje wszystkiego, a Oni przybyli jak rycerze w lśniących zbrojach, przynosząc nadzieję. Mieli nas uratować.

Jak długo tutaj jestem? Dłużej niż 432210 sekund.

Drzwi otworzyły się z sykiem. Weszli. Oni. W szarych jak ściany kombinezonach. Nie przyszli po mnie, przyszli po ono. Leżało pod jedną ze ścian. Blondwłose. Skulone i zapłakane. Ponoć Izi. Wzięli je pod pachy i wynieśli. Kopało, jęczało, ale byli silniejsi. Ono już nie wróci. Jego żółta skóra pokryta łuskami, oczy wąskie, podłużne źrenice – są już przeszłością, bo nikt ani nic jeszcze stamtąd nie wróciło. Ciekawe, kiedy przyjdzie moja kolej?

Ze snu obudził mnie krzyk, głośny krzyk szaleństwa i agonii. Krzyki towarzyszyły mi każdej nocy, czasem także w dzień. Kiedyś budziły mnie co noc. Odwróciłam głowę do okna. Panowała ciemność. Panowała tam. Tu nie. Przeniosłam wzrok na jedyne w pomieszczeniu – za to działające stale, nieustannie, bez przerw – źródło światła. Niezdrowe światło. Nagle żarówka mrugnęła. Żarówka mrugnęła? ŻARÓWKA

MRUGNEŁA! I zgasła. Zgasła. Zgasła. ONA ZGASŁA. Otuliłam się kocem i wstałam, by poszukać martwego słońca. Księżyc nie jest samolubny. Nie zabija swoim gorącem. Jest zimny, kojący. Wokół panuje czerń. Nawet martwe drzewa, tak dobrze widoczne w dzień, widoczne nie były. Gwiazd też nie było, nie było chmur. Martwego słońca też nie było. Krzyki ucichły. Położyłam się z powrotem na szarą podłogę.

Znowu mnie obudzono. Żarówka świeciła. Syknięcie drzwi... Przyszli po mnie. Podkuliłam kolana do klatki piersiowej. Wstrzymałam powietrze. W drzwiach pojawił się On. Ubrany w szary kombinezon – jak wszyscy Oni. Jego jednak się nie bałam, już nieraz tu był i nigdy mnie nie zabrał.

— Hej — jego aksamity głos odbił się od ściany — pamiętasz mnie? — zapytał. Robił to zawsze. Potwierdzam. Powoli podszedł i kucnął przede mną. — Przyniosłem coś do jedzenia.

— Dziękuję — odpowiedziałam, biorąc się za jedzenie. Było dobre? Nie. Ale było. Ciemnowłosa lekko uśmiechnął się. Zeta nigdy mnie nie dotknął, nikt, odkąd tu jestem, mnie nie dotknął. Przychodził z jedzeniem i opowiadał, jak tam jest. Dziś mówił o zwłokach małego dziecka – całe poparzone przez plagę z bąblami z płynem czarnym jak smoła. Jego też dotknęła plaga, kiedyś, kiedy jeszcze nie wiadano, co to. Jego ręka była czerwona i pomarszczona.

— Nie boli, już nie — powiedział mi kiedyś. — Tu jest bezpiecznie... Ufasz mi? — Ufałam, bo każdy z Nich, gdy się pojawiał, kogoś zabierał. On nie zrobił tego nigdy.

Od wyjścia Zety minęło 604817 sekund. Od ponownego zapalenia się żarówki 626451 sekund. Chodzę po kwadracie w pokoju pięć na pięć kroków. Czternaście i pół – stopa za stopą – na czternaście i pół. Słońce świeciło dość nisko. Przyłożyłam ucho do szorstkiego szarego betonu ściany. Czułam bicie swojego serca: łup, łup, łup... i lekkie wibracje. Zbliżają się. Po mnie? Kroki ucichły. Lekki syk – drzwi. Niosą mnie we dwóch. Dotyk boli.

Nie szarpałam się. Było oczywiste, że kiedyś przyjdą i po mnie. Białe korytarze, to samo okropne zimne światło. I kroki: głośne, miarowe... Tup... tup... tup. Zamknęłam oczy, słuchałam. Stanęli. Kolejny zgrzyt – kolejne drzwi? Nie wiem. Nie widziałam. Miałam zamknięte oczy. Znowu byłam w ruchu. Śmierdzi żelazem. Otworzyłam oczy. Dostrzegłam kapsuły z niebieskim płynem, a w nich istoty podobne do mnie: ręce, nogi, tułów,

ale bardziej podobne do Izi. Jedno ma cztery ręce, drugie rogi jak u barana. Sadzają mnie na krześle, kończyny przykuwają do skórzanego fotela. Znowu zgrzyt... Odwracam głowę w kierunku drzwi. Wchodzi... Średniej budowy, ubrany w biały kitel. Wszystko tu jest białe oprócz kapsuł i fiolek stojących na stoliku obok mnie. One są kolorowe. Podchodzi. Łapię z nim kontakt wzrokowy. Znam te oczy, przychodził do mnie często. Jako jedyny przychodził, ale nigdy nie zabierał mnie ze sobą.

— Ty...? — powiedziałam, ale głos uwiązł mi w gardle. On tylko się uśmiecha. Podchodzi jeszcze bliżej i łapie mnie za policzek. Obraca moją głowę w lewo, potem w prawo.

— Jak się czujesz? Zrobili ci krzywdę? — pyta, sięgając po kostkę. Kładzie ją obok fiolek. Kiwnęłam głową, że nie. Mówi, że dobrze, cały czas patrząc na mnie. Puszcza moją głowę i sięga po coś. Lustro. Widzę chude policzki i niebieskie oczy. Zobaczyłam siebie pierwszy raz od bardzo dawna.

Siedzę 780 sekund. Ciągłe patrzę w lustro. Blond włosy, posklejane. Żaloszny widok. Czarnowłosy siedzi obok mnie. Ja słucham, on mówi. Mówi o tym, że to jest przyszłość i potęga. Mówi spokojnym, melodyjnym głosem. Odwracam wzrok, przyglądam się rdzawej plamie na białej podłodze. Nie słucham – nie chcę. Jednak słucham. Kłamie. Zawsze kłamał? Ucichł. Patrzę na niego. Czekał na to.

— Masz — podał mi kostkę. Biorę ze zdziwieniem. – Zobaczymy, co z ciebie będzie, Xavier.

Obracam ją w palcach: dwanaście ścianek, każda kolorem odpowiadała fiole. Puszczam ją. Spadała niecałą sekundę, cztery sekundy toczyła się po białej podłodze – błękitny.

— Co to znaczy? — pytam. Zeta uśmiechnął się, sięgnął po odpowiednią fiolkę i wypełnił strzykawkę jej zawartością. Napinam mięśnie i całym ciałem napieram na oparcie fotela.

— Błękit to piękny kolor. Będiesz piękny. Będiesz pierwszy i najpiękniejszy ze wszystkich! — Złapał moje ramię. Nie krzyczę. Czuję krótki ból. — Dzielny, grzeczny chłopiec. Nie było tak źle, prawda? — Wstał, wytarł ręce o fartuch i wyszedł. Zgrzyt drzwi i już go nie było. Siedzę 120 sekund. Zamykam powieki. Zасыpiam.

Ocknąłem się nie wiem po jakim czasie. Ocknąłem się pośród betonu. Poczułem się bezpieczniej. Bolało mnie całe ciało. Najbardziej plecy. Czułem jakby coś miało rozerwać mi na nich skórę. Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Nie było MOJE. Było inne. Większe. Wyższe. Z kamerą w rogu. Czerwona dioda migiała rytmicznie. Po szóstym mrugnięciu, przeszła mnie fala bólu. Skuliłem się, był to błąd. Zabolało mocniej. Krzyknąłem. Na plecach poczułem wilgoć, a w nozdrzach zapach żelaza.

Dzwoniło mi w uszach. Mrugnąłem oczami, by przyzwycząić je do pa-nującej w pomieszczeniu ciemności. Ciemności... Spojrzałem na kamerę. Dioda nie mrugała. Za oknem też była czern, nic więcej. Plecy bolały mniej. Zatkałem uszy, syrena przycichła. Podszedłem do drzwi. Dzwonienie było głośniejsze. Alarm. Słyszałem krzyki dochodzące z drugiej strony i bieg, które zaraz ucichły. Coś walnęło w metal drzwi, może ktoś. I znowu. Odsunąłem się od nich, dotknąłem zimnej szyby. Dźwięk się powtórzył. Drzwi zostały wywarzone. Betonowy pył był wszędzie.

— Już spokojnie. Już jesteś bezpieczny. — Ktoś podszedł do mnie i złapał mnie za ramię. Miał miękki głos. Nie był to Zeta. Próbowałem się wyrwać, udało mi się. — Okej, rozumiem, ale nie mamy czasu. — Znowu mnie złapano. Ktoś prowadził mnie przez korytarz, po schodach, korytarzem i znowu po schodach. Osoba, która mnie prowadziła była drobna. Miała na sobie czarny mundur, kamizelkę kuloodporną. Minęliśmy podobnie ubranych ludzi. Po pięciuset czterech sekundach pod stopami poczułem coś miękkiego. Trawa. Spojrzałem w górę: niebieskie niebo, słońce i ptaki, przed nimi duże, czarne ekrany. Kłamstwo. Wokół mnie zebrała się grupa medyków. Kątem oka zobaczyłem poparzoną dłoń... W kajdankach.

— Nazywam się Kai. Oficer Kai — przedstawił się jeden z medyków, kobieta. — Jak masz na imię? Jak się czujesz?

— Xavier. Chyba...

Kai kiwnęła głową. Opowiedziałem jej wszystko, co mi się przydarzyło. Poinformowała mnie, że byłem obiektem eksperymentalnym grupy pseudonaukowców, której celem było tworzenie hybryd ludzi i zwierząt. Podobno robili to dla *dobra ludzkości*, ale prawda jest taka, że robili to, bo mogli. Twierdzili, że pracują nad stworzeniem wyjątkowej istoty, pięknej i silnej. Zastanawiali się *JAK* to zrobić, ale nigdy nie postawili sobie pytania: *CZY to robić?* Przywłaszczyli sobie kompetencje MATKI NATURY.

Kai powiedziała także, że żadnej plagi nie ma i nie było, że mamy dwa tysiące osiemdziesiąty rok, że to było ostatnie takie miejsce.